



MARIAN MILSZTAJN

ur. 1919; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Żydzi w Lublinie - profesje
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, Żydzi, hafciarze, handel żydowski, żydowskie profesje, hafty, krawiectwo, złotnik, złotnicy, złotnictwo, żydowskie zawody, rymarz, rymarstwo, rymarze, targ, targowisko, targowiska, Lublin ulica Nowa, targ przy ulicy Świętoduskiej, gojski targ, tragarze, Lejb Lajbel Lehrer, związki zawodowe, związek zawodowy, czapnicy, targ żydowski, cajgl, cajglowy materiał, Lublin ulica Krakowskie Przedmieście, sklepy, Lefler, Trzaski i Ewerst, dorożka, dorożkarz, elektryczność, elektryk, elektrycy

Żydzi w Lublinie - profesje

Hafciarze produkowali te wszystkie wyroby, jak by to powiedzieć – hafciarskie, na przykład w bieliźnie. Do bielizny doszywano te dodatki, jakby haftowane. Były haftowane różne znaki na bieliźnie, co było szczególnie u wielkiego państwa. Bielizna była haftowana herbem swoim. Były też przyszywane do różnych bielizn, do nakryć na stół takie końcówki, te wszystkie z nitki robione. To było hafciarstwo. Zawód ten w Polsce szczególnie był rozwinięty w Kaliszu. Tam była słynna fabryka hafciarska. I z odkryciem tych najnowszych maszyn, ten zawód, to rzemiosło zanikło, bo już nie było rzemiosłem. Już było wszystko fabrycznie wyrobione. I w latach już 30-tych, albo końcowo 20-tych, ten zawód zanikł. W tych latach, kiedy to wyrabiano ręcznie, trzeba było dużo ludzi do tego, żeby wyhaftować metr, powiedzmy, tego paseczka. Były wąskie, były szerokie, były z materiałem razem te hafciarskie prace. Albo wykrojone wzory i te otwory obrobione. I tym się hafciarstwo zajmowało. Guziki to były z kości, ości i tak dalej. Wówczas jeszcze plastikowych guzików, na przykład, nie było. Wszystko było robione z prawdziwej kości, albo kości słoniowej. Mój przyjaciel przyjechał do Beer Szewy jakieś 14 lat temu z Lod. I wiedziałem, że on jest z Polski, co prawda źle mówił po polsku, bardzo źle. Mówiłem raczej z nim po hebrajsku, bo on tu był więcej w kraju aniżeli ja, bo on przyjechał prosto z Niemiec w 1948 roku. Jego ojciec był hafciarzem. I od niego ja wiem dużo. I jak ojciec był bezrobotny pod koniec lat 20-tych. I wyżywieniem rodziny zajmowała się matka, która handlowała zbożem. To od niego wiem. W Lublinie z hafciarzami nie zadawałem się, znaczy nie znałem ich prawie.

Ale byłem uczniem krawiectwa. Chodziłem do szkoły zawodowej w Lublinie. Pracowałem w warsztacie u jednego majstra Żyda, Legionisty, oficera Legionów, dom obok kina Apollo. To u niego ze złotych nici i srebrnych – to były takie zwoje, co igła mogła przejść, ze złota – kroileś kawałki i haftowałeś. Na przykład, u niego była klientura wyłącznie polska, koledzy z Legionów, naczelnicy województwa, z policji, wysocy oficerowie policji, z Dwójki. Taki to był jedyny krawiec w Lublinie, który miał taką klientelę, bo u żydowskiego krawca szyli sobie wyłącznie Żydzi. Ale też haftowaliśmy inicjały klientów na podszewce. Jeden chciał ze złota, jeden chciał nici srebrne.

Też można było określić hafciarstwo, ale hafciarstwo innego rodzaju, na przykład stopnie wojskowe: generalskie, oficerskie. To też wyszyliśmy. Wykroiłeś takie kawałeczki małe, igłę nadziałeś, szyłeś. I tak mogłeś zrobić, powiedzmy: podporucznik, jedną gwiazdkę, porucznikowi jeszcze jedna gwiazdka, kapitanowi trzy, majorowi paski i jedną gwiazdkę, podpułkownik. I to było wyszyte i mniej więcej wyglądało tak. To było hafciarstwo, ale takie, jak przyszywałeś do pościeli, czy coś tam, z wzorami wewnątrz. To nie była krawiecka robota. Hafciarstwo to było hafciarstwo. To pracowano albo indywidualnie w domu i dostarczano do sklepów. Ale kiedy nastały maszyny, to już ci hafciarze nie byli potrzebni. Jak przeszło się od sztrykowania swetrów do maszyny, która robiła ten swetr, to już nie potrzebowałeś kobiet, które siedziały i sztrykowały swetr. Nastawiłeś wzór, dałeś te kolory nici i maszyna pracowała. Tak samo było z tym hafciarstwem. I ten zawód znikł. Tak samo, jak na przykład, dzisiaj zegarmistrzostwo zanika, bo nie można już zegarka naprawiać. On ma 5 lat, 10 lat i jak się kończy – kończy się. I dzisiaj rzadko spotkasz w mieście naprawiacza zegarka, ale zegarków starych, bo nowych nie może. Nowy – wkładasz baterijkę, on chodzi. I ten cały emanżament wewnętrzny też się kończy, tego już nie można naprawiać. Nie ma już sprężynek, nie ma już tych kótek. To zupełnie co innego. Tak było z hafciarstwem. I gdzie oni byli, pracowali, to było bezrobocie. Ale to nie był zawód, który na przykład zatrudniał masę ludzi jak szewstwo, krawiectwo. To byli nieliczni wytwórcy. W domu może taki to robić. Sklepu mieć nie musiał, mógł wstawić do sklepu, tam gdzie sprzedawano guziki, nici, płótna, do takich sklepów, do pasmanteryjnych sklepików.

Na naszych Błotnikach była jedna krawcowa – Nomi, i ona szyła tylko bieliznę. To ona też kupowała te hafciarskie paski, żeby dołączyć, na przykład: szyjesz obleczenie, i na przykład z takim otworem, to tu doszywano te hafciarskie roboty. I były różne wzory, bo kto robił ładniejszy wzór lepiej mógł to sprzedać. Albo obrus, iks na iks, też obszywano. Zależy kto sobie mógł na to pozwolić, na taki obrus. Bo biedota nie kupiła takiego obrusu, bo to było o wiele droższe. To hafciarstwo kosztowało może tak samo jak obrus. Te hafty, te dodatki do zwykłego płótna. To było drogie, bo to była ręczna robota. W każdym razie biedny sobie nie pozwolił na takie rzeczy. Biedny, który sobie dał uszyć bieliznę, robił bieliznę bez tego. To było obrobione płótnem, to było obrobione płótnem tego samego płótna, żeby to się nie rozdarło tak łatwo.

Był jeszcze jeden żydowski zawód – złotnik. Wykonał prace ze złota – łańcuszki, pierścionki. Praca ręczna. To też był żydowski zawód. Taki złotnik nie dostałby świadectwa złotnika bez zdawania egzaminu. A za świadectwo trzeba było płacić. A ponieważ już było świadectwo, to to już było zarejestrowane w zarządzie miejskim, to już dostałeś roczne podatki płacić. Także to było wszystko ładnie związane.

Rymarz przygotował uprzęż dla koni, siodła szył. Wszystkie prace związane ze skórą, z grubą skórą, nie cienką, tylko grubą skórą, tak. Tym się zajmowało rymarstwo: lejce uprzężne na konia, tylko skórą, do powozów. Siedzieli na zydlu. Zydel to nie jest takie zwykłe krzesło. To jest taki stołeczek jak na wsi. I tu były takie, jakby płaskogubce – z dwóch stron można było przykręcić te drewna, szły na śrubie. I tam on włożył te części skóry, żeby zeszyć, bo tego nie możesz trzymać w rękę jak materiał i szyć. To jest gruba skóra. To była taka śruba, która weszła w otwory i jedna część ścianki, z tym skoblem była, stała, a ta druga to była wolna i ruchliwa: nadział i ją przyciągnął, i zmocował, tak jak metalowcy szlifują żelazo i wsadzają w imadło. To było takie duże imadło z drewna, z tego twardego drzewa. Bo to też jakby przykręcał, taką śrubą. I tak on siedział sobie i szył to siodło. I takim szpilerem, i takimi nićmi nawoskowanymi on to szył. A igła! Przepychać przez dwie skóry grubości podeszwy, to trzeba i igły i siły. To wynaleźli maszynę do tego, żeby maszyna pracowała. Rymarz pracował u siebie w domu. Nie potrzebował warsztatu specjalnego. Przeważnie pracowali dla wojska. Zasadnicza praca była dla wojska, bo dla chłopów,

to on to może mieć lata taką uprzęż, ale wojsko to zużywało. Pytanie: czy Żydzi pracowali dla wojska? To jest pytanie. Było dużo polskich rymarzy. I na pewno oni pracowali dla wojska. Bo Żyd na pewno by nie dostał zamówienia od wojska, nawet nie do pomyślenia, nierealne. Żydowscy rymarze pracowali na rynek, sprzedawać dla konia oprzęż dla konia. Albo chłop w miasteczku zamówił u Żyda rymarza, albo przyjechał.

W Lublinie była część targu gdzie rymarze sprzedawali swoje wyroby. I to było na Nowej, na Nowej była ta część. I między Nową a tą ulicę, gdzie gdzie ojciec miał kolegę z armii rosyjskiej [Świętoduska], gdzie pośrodku, tu na Krakowskim Przedmieściu był kościół i Magistrat, to ten cały teren aż na dół, do Lubartowskiej to był polski rynek, targ polski – gojski targ. Tak to nazywano, gojski targ. Aczkolwiek tam aż tyle ludności polskiej nie było, ale przeważnie tam były stoiska i dużo też ze wsi, mleczne rzeczy, jarzyny, owoce. Ale najwięcej było na żydowskim targu. Tam było masa.

Jak przywieziono do Arona Czapa, do piekarza, dziesięć worków mąki, to ani Czap ani ten, który woził, nie zniósł tych worków. Tragarz zniósł te worki. A tragarz, który pracował niby dla Czapa, on wiedział, że u Czapa w czwartek o godzinie tej i tej przejeżdża furman z workami tego i on znosi. A ten tragarz już z tym furmanem jeździł od pierwszego rozładunku do końca. I prawie pół dnia wiercił się z nim i u tego zarobił te swoje 20 czy 30 groszy, czy pół złotówki i u tego i tak sobie na ogół zarobił na dzień. Przywożono różne materiały do sklepów bławatnych. Kto zniósł te bale? Tragarz. I oni się kręcili, ci tragarze, raczej stali, bo ich wezwano, przeważnie na Cyrulniczej. Tam oni stali, bardzo ich stało dużo, koło 10–15. Furmanki tam stały, na tym podwórzu, na Kowalskiej 4. Cyrulnicza, która przeszła – ten targ wewnętrzny, mały – przeszedł do Kowalskiej, do ulicy Kowalskiej. Tam był ogromny, wielki teren, tam stały furmanki i tam stali tragarze. I stamtąd wezwano tragarzy do znoszenia ciężarów, masy. Ale to był zawód i przy tym była, można rzec – praca. Zarobek nikły, ale praca, co dzień trzeba było nosić. Albo przywieziono do jatek mięso, przywieziono – powiedzmy 1000 kilo mięsa, żeby rozdzielić w tych jatkach. Kto to nosił? Tragarz, który ubrał sobie biały kitel, i na plecach wniósł ćwiartki krowy, pół krowy, powiesił na onklu [haku]. Onkel to jest niemiecki. Biedota, biedota, biedota. Ale ci tragarze byli masa świadoma. Oni byli zorganizowani dobrze w związku zawodowym. Oni byli razem ze stolarzami, tapicerzy i tragarze. Ich przywódcą był Lajbel Lehrer. On był sekretarzem związku zawodowego pracowników drzewa, tragarzy i przewoźników – furmanów. Lejb Lehrer, ale Lejb to zamieniono na Lajbel, tak jak Jan na Janek, na Jasiek.

Czapnicy – to był typowy zawód żydowski, tak jak krawiectwo. Przeważnie zajmowali się szyciem czapek na targ. Nie czekali aż ktoś wejdzie i zamówi czapkę. Wszystko było na targ, szczególne dla wsi. Czapników nie było dużo, więc zdaje mi się, że jako tako wyciągnęli, jak to się mówi: „parna sa”, znaczy – „na życie”. A Żydzi w jidysz robili z tego „parnusy”. Nie było dużo czapników. Ja znałem może dwóch czapników w tej dzielnicy żydowskiej. Sklepów z czapkami to było chyba trochę więcej, czapek i kapeluszy. Kapelusze to już jest inna produkcja, zupełnie inna. Czapki się szyje, a to się wyciska. Zupełnie inny proces. Do tego trzeba urządzenia. Po prostu maszyna i płyny, żeby rozmiękczyć ten materiał i żeby go naciskać, nie nabrać, tylko naciskać. Tak jak robi się z blachy różne formy pod naciskiem czegoś. Zupełnie inny proces produkcji. Kapeluszy jeden człowiek nie może robić, to musi być warsztat, albo fabryka. Czapnik może sobie siedzieć w domu, przykrajają sobie te kawałeczki i na małej główce maszynowej szyje czapki. To nie jest krawiecka maszyna. To jest maszyna do czapnikarstwa. Zwykła maszyna, ale inna główka. Głowa tej maszyny inna, nie płaska. Ona ma więcej miejsca na posuwania tej czapki, bo ona nie leży tak jak placek. Tak samo jak maszyna u kamaszników. Też jest specjalna głowa maszyny. To nie jest krawiecka maszyna. Na przykład maszyna do walizek – specjalna maszyna. Maszyna

do materacy – specjalna główka. Dzienny zarobek koło trzech czy czterech złotych, nie więcej. Były tanie czapki na wieś, z cajtlowego materiału, cajtł – takie twarde płótno, silne. Albo cajtgowy materiał. Z tego się szyło takie niby płaszcze, chałaty. Bardzo tanie. To kosztowało może coś 1zł, 1,50zł za metr. I na wsi to chłopci kupowali te czapki. Żeby to było ładnie uszyte, do tego też trzeba było, żeby był dobrym fachowcem, żeby to nie było gruboskórne takie, tylko eleganckie, gładziutkie. To taka czapka mogła kosztować 1,50zł. A z chłopami to było jak z Beduinami. Oni się kłócili, oni się targowali. To były tanie rzeczy. Na przykład kupić sobie kapelusz Hikla, który kosztował 40–50 złotych, kto był w stanie? Doktor, adwokat. Wielki pan mógł sobie pozwolić na taki kapelusz. A tak kupiono kapelusz za 10 złotych. To było dużo pieniędzy – 10 złotych, ale był ze zwykłej welury.

Krawców było w bród, warsztatów krawieckich. Krawcy pracowali przeważnie w domach, bardzo mało wynajętych lokali, poza domem. Były, ale mało. Byli, którzy pracowali sami, byli, którzy pracowali ze współnikiem, byli którzy zatrudnili czeladnika i były warsztaty, które zatrudniały więcej: dwóch, trzech czeladników, ale to już były większe, to już były klasy ekstra. Tak na przykład na Krakowskim Przedmieściu 60, zdaje mi się, był krawiec damski, słynny. On miał duży warsztat i pracowało tam kilku ludzi. Był na Królewskiej 2, zdaje mi się, był warsztat duży: Lefler. On zatrudniał też ośmiu ludzi, tak. Tam było i na zamówienie i on szył na gotowo. Mogłeś przyjść i kupić tam. Dlaczego to pamiętam? Bo jak miałem 10 albo 11 lat, ojciec ze mną poszedł tam i tam mnie kupił ubranko, które nosiłem do 14 roku życia, czyli trzy lata, ale już mi było wąskie, krótkie, ciasne. To pamiętam, że kupiliśmy tam ubranie. A potem zetknąłem się w organizacji młodzieżowej Bundu – w Cukunfcie z jego córką. Leflerowa – elegancka dziewczyna, wysportowana, tak. I wiele takich warsztatów nie było. A tak było dziesiątki krawców żydowskich w mieście. Prawie na każdej ulicy był krawiec, albo kilka krawców. Lefler był zamożny, ten damski krawiec na Krakowskim Przedmieściu był zamożny. A ci krawcy prości wyciągnęli znowuż tam „parnasa”, żeby utrzymać rodzinę. Luksusów nie było. Przeważnie tam pracował i ktoś, kto się uczył krawiectwa. Przyjmowali. Dopóty, dopóki nie trzeba mu było płacić, nauczył się przez rok, dwa, trzy, to pracował bez pieniędzy, a potem jak już coś umiał to musiał sobie szukać pracę zarobkową u majstra, który potrzebuje czeladnika i gotów mu jest płacić. Także to była naturalna droga. Jak chcesz być krawcem musisz iść się uczyć u kogoś, znaleźć kogoś, albo rodzinny, albo przez znajomych, tak, żeby cię obuczał. Jeszcze wcześniej, w wieku XIX, to trzeba było takiemu krawcowi płacić, żeby chłopaka nauczył krawiectwa. Nie było za darmo. Znaczący, nie uczył za darmo, nie trzymał za darmo. Trzeba mu było dopłacić. Jak to wyglądało? Przychodzi dziecko 13–14 lat uczyć się krawiectwa, po szkole powszechnej, albo po chederze. Przede wszystkim jego obowiązkiem jest utrzymać warsztat w czystości. Pracuje w ten sposób: niefachową robotę wykonuje, na przykład wyciągnąć fastrygi przed prasowaniem. Bo przecież to ubranie ma masę fastryg, jest sfastrygowane od początku do końca. Taka praca – to on może robić. Robić żelazko, zapalać węgiel i dmuchać i przygotować majstrowi do prasowania. Praca - to on może robić. I za to nie płaci się, tylko co było? Majster wykończył ubranie i ten chłopak wziął to ubranie na rękę i zaniósł do klienta. Klient nie przyszedł odebrać ubranie, tylko chłopak, ten uczeń, zaniósł to ubranie. To co, to nie bywało, żeby nie dać coś chłopcu. A jeżeli ten majster robił dwa ubrania na tydzień, to ten chłopak miał albo pół złotego, albo złoty za odniesienie. Ten klient coś dał zawsze. Bo to osobiście przeżyłem przecież. I to było wiadome – jak się odniosło ubranie to ten klient coś dziecku dał. Rzadko, rzadko było, bo słyszeliśmy przecież w związku zawodowym, należeliśmy do związku zawodowego, to dzieci mówiły, tak, byliśmy dziećmi – 13–14 lat – rozmawiano: ja miałem takiego co nie dał grosza, ale mało takich było. I z tego, i z tych grosików, co ja robiłem z tych grosików? Jak w tydzień miałem pół złotego, to kupiłem sobie 5 książeczek małych, 10 groszy książeczka. No, trzeba jeszcze dodać, że taki uczeń był i na posyłki: kup to, kup to, idź na rynek, pilnuj dziecko, nakarm dziecko. I to trzeba było robić. I

pracowało się nie 8 godzin. Pracowało się 12–14 godzin. Pamiętam, nieraz do domu szedłem o godzinie 10 wieczór od gospodarza. Pracowałem na Lubartowskiej, potem na Grodzkiej, a potem przy kinie Apollo. W trzech miejscach pracowałem w tych latach krawiectwa. Najdalej było mi na Krakowskie Przedmieście, obok kina Apollo. To było najdalsze. O, to był ciężki człowiek, ten Legionista, ten oficer, ten krawiec. Nie lubiał płacić. Często musiałem zostawiać pracę, nie przyjść. I posłał drugiego ucznia do domu, żebym przyszedł i trochę zapłacił. Takie życie było. Niektórzy nie lubili płacić. Strasznie nie lubiał płacić. A pracował tam brat żony. W moim wieku też chłopak. On go tłukł, on go bił jak nie wiem co, jak psa. Tam u niego było nas trzech. Niby szwagier, szwagierek, jeszcze jeden – garbusek i ja. On był wymagający strasznie. To co nie widziałem ani u pierwszego, ani u drugiego. On mógł, na przykład – jak zszyłeś podszewkę, bok tej podszewki i zerwała się nitka pośrodku to on ci nie pozwolił dalej szyć. Tylko: „Wyjm to wszystko”. Taki absurd. A tak on pracował. Różni ludzie, różne temperamenty. Ale tam, na początku, tam u niego pracowałem też dwa i pół lata. Miałem 17 lat jak tam przyszedłem pracować. No to w zasadzie dał mi tylko odnieść ubrania gotowe. On szył i damskie i męskie. No, to było mi bardzo, bardzo ciężko. Odniosłem do domu jakiegoś oficera wysokiego, jakiegoś sędziego i musiałem jako tako otworzyć pysk. Odpowiedzieć żonie, tego pana nie było w domu. To mi przyszło bardzo, bardzo trudno, tak się wstydzilem, tak mi ciężko było wyrzec te słowa. Z tym miałem przykrości. Ale za to na początku on źle tak płacił – to z tych odniesień miałem ładny grosz. I mogłem sobie kupić książki, i książki i książki.

Na Krakowskim Przedmieściu, obok hotelu Polonia, był sklep, zdaje mi się on do dzisiejszego dnia tam jest, Trzaski i Ewerst. Taka nazwa, jak nazwa tego słownika Trzaski i Ewersta. To już tam mnie znali. Bo to było i niedaleko pracy, jak miałem 2, 3 złote, to wszedłem i kupiłem książki. Bo już zacząłem czytać w języku polskim, sobie mogłem pozwolić.

Ktoś miał dorożkę, miał prawo do dorożki, albo miał dwie dorożki. On jedną prowadził, a wynajął człowieka, który rano przyszedł, wyprowadził konia, zaprzągnął i wyjechał na swoje stanowisko. Bo każdy dorożkarz miał swoje stanowisko. Nie mógł stanąć gdzie mu się chciało. Tak jak taksówki. I tak samo, skończył dzień, zdał sprawozdanie ustne – często nie umieli pisać tacy fachowcy, zdał pieniądze, zaprowadził konia do stajni, oprawił konia, odcisnął go, wygrabił go, pobawił się nim i poszedł do domu. I to było. Zarabiał... przeważnie to było tygodniowo, tygodniowy zarobek. Chyba też niewiele taki zarabiał. Nie istniała stała praca. Jak gospodarz był zadowolony to cię trzymał, jak nie był zadowolony to cię zwalniał. Nie było pojęcia stałości w prywatnej pracy. Jak dobrze pracował, jeżeli mowa o tym zawodzie, jeżeli dopilnował konia jak należy, był zadowolony, wchody były normalne, to go trzymał. A jak podejrzewał, że on sobie bierze z tych zarobków to go wywalał na zbity pysk. Jak przejechałeś i zapłacili ci pół złotego, powiedzmy z miasta na kolej, i miał kilka takich przejazdów i nagromadził 3 i 4, 5 złotych to przecież mógł sobie wziąć pół złotego, bo nie było zegara, licznika, żeby pokazać, ile on jechał, ile wyniosło, ile by zarobił. To się trzymało człowieka. Tak samo każdy inny zawód, krawiec, szewc.

Jak ja byłem dzieckiem, ojciec pracował z dwoma czeladnikami, a jak podrosłem, tylko został jeden. A jak ten jeden uciekł do Rosji – Aron, tak, jak uciekł do Rosji, ojciec więcej nie przyjmował i pracował sam. Mówiłem, jak ojciec pracował. Dwa razy do roku zakupił materiały. Przygotował te cholewki: 150, 200, 250 par. Także kamasznik pracował prawie miesiąc, sześć tygodni. A potem zaczął pracować. Zimą przygotował obuwie na lato, latem przygotował buty na zimę. I zjechali się z wszystkich miasteczek województwa i każdy dostał 10 par, 15 par. To rokrocznie, ci sami ludzie. Chyba, że ktoś umarł, to przyjechał syn, albo ktoś kto objął ten sklep. Także to była niby firma, znana w województwie, że buty „Lajbriw”, „Lajbriw wu kaszel” to są buty, które można sprzedać i klient nie będzie miał pretensji. Bo ojciec robił z najlepszego

materiału. Co prawda, że but sprzedawał ojciec za 20, 25 złotych. A to było dużo pieniędzy. Skóra była pierwszorzędna, praca była pierwszorzędna. Ja pamiętam te oficerki – nie dużo robił. Jak robił 220, 250 par, to może było 20 par oficerskich butów. A zamówienia prywatnego ojciec nie przyjmował. Buty szył prywatnie dla popa, z tej cerkwi prawosławnej, dla tego restoratora, co żeśmy wykradli się z domu żeby tam zjeść wieprzowniaka, i dla policjanta, naszego dzielnicowego. To byli ludzie, z którymi ojciec służył w wojsku i byli kolegami. Tylko dla nich robił buty. No i dla mnie. Mnie ojciec szył wszystkie buty. Jak byłem dzieckiem, to pamiętam, Aron mi robił te buciki. Ten komunista, który uciekł do Związku Radzieckiego i ślad po nim zaginął.

Elektromonter zaprowadził światło do domu. Elektryk. Albo gdzie się budowało jakieś nowe domy. Do polskich domów budowanych żydowski elektromonter nie miał dochodu, dojścia. Nie wzięto go, nie zaangażowano go, bo polski przedsiębiorca budowlany Żyda nie przyjął. Nie istniało, po prostu nie istniało, żeby była taka możliwość, ale zaprowadziło się tam gdzie nie było jeszcze światła, do istniejących budynków. Przecież myśmy dostawali światło dopiero w 1934 roku. Jak przeszliśmy od Ruskiej – tam tylko używaliśmy lampę naftową. Na Nadstawną, to tam można było wprowadzić elektryczność. Dom był podłączony. Byli mieszkańcy, lokatorzy, którzy nie interesowali się elektrycznością, używali dalej lampy, a ojciec był już zainteresowany, żeby nie siedzieć przy tej lampie i pracować. No to taki elektromonter – zamawia się. On z elektrownią ma kontakty, dostaje prawo podłączać się pod słup, i wprowadza do mieszkania, te wszystkie druty przeciąga. To jest elektromonter. Starano się nie palić stale. Jak się wyszło z domu to światło zgaszone. Jak się było tylko w pierwszym pokoju, gdzie ojciec pracował, to w drugim pokoju, niby ta sypialnia, sypialnia – salon, to tam się światło nie paliło. Jak się weszło tam, ojciec skończył pracę to tu zgasił. Także oszczędzono. Bardzo oszczędzono. Nie było tak jak dzisiaj: światło się pali całą dobę, oprócz tego jest radio, jest telewizja i światło idzie. Dzisiaj światło idzie bez przerwy. Elektromonter też może być... tego wiele nie było, ale do przyrządów elektrycznych. Już wówczas były, ale było mało. Na przykład były już elektryczne maszynki do mielenia mięsa. To ta maszynka była na jakimś instrumencie elektrycznym. To był elektromonter, który znał się na tym, lub on się znał tylko na wprowadzeniu światła. Wśród elektromonterów też są działy: to tak, a to nie, tak. Była naprawa radia, ale nie w Lublinie. To był zawód nie związany z elektrycznością. Tylko raczej z delikatną mechaniką. Ale ja nie pamiętam, żeby był wśród Żydów taki, który mógł naprawiać radia.

Data i miejsce nagrania	2000-07-04, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"